# ANTENA LITERACKA

Nr 2 czerwiec 1929 cena 50 gr.

Adres REDAKCJI i ADMINISTRACJI: Kraków, ulica Grodzka L. 63, II, piętro.

## SUTERYNY.

*Codzień przed kwadratowemi szybami brudnych okien*
*Setki nóg bije w cementowe płyty krok za krokiem*
*Wieczny mrok zalega po kątach przypadłych suteryn —*
*Czasem z drugiego chodnika słońcem błysną lakiery*

*Zima w nocnych godzinach zawala nam okna śniegiem —*
*Burze wodą sączą się z rynsztoków, zalanych po brzegi*
*Smrodem lochów i kurzem ulic oddychają płuca —*
*Gruźlica żre, trawi i krew się ustami rzuca*
*Głód nas przewraca na wilgocią przegniłe tapczany*
*Codziennie łakniemy chleba — głodem jesteśmy pijani*
*Wołamy o słońce! niechaj snopem światła zaświeci*
*I leczy ultrafioletem nasze rachityczne dzieci*
*Powietrze z pól niech wtargnie i chore uzdrowi płuca*
*A głód niech nie szarpie wnętrzności i myśli nie zakłuca*
*Wołamy z cuchnących suteryn, wtłoczonych do ziemi:*
*— Bracia z Monte Carlo, z Rivier i z Krynic, my żyć chcemy!*

## SMUTEK.

*Na zawsze będziemy z sobą,*
*Ze mną pozostaniesz*
*I ze mną zejdziesz do grobu,*
*Smutku, powitany łkaniem.*

*Mieczysław Wojtaszewski.*

## SZPITAL.

*Dwa rzędy łóżek białych, jak oblicze lęku, —*
*Na każdem — patrząc w sufit z pod przymkniętych powiek,*
*Zapadły w cichy bezwład, jak w poduszkę miękką,*
*Leży król tego świata — dumny władca: Człowiek!*
*Jak strzęp wyblakły królewskich szkarłatów*
*Zrzucony z wyżyn tronu na brudne śmietnisko,*
*Wskróś przeszyty tragedją rozdeptanych kwiatów,*
*Jasne kwitnięć godziny do serca przyciska.*

*Jak zmora dusi w gardle lekarstw zapach ostry.*
*Ból gorącym ołowiem ciąży na powiekach.*
*Jak widma śmierci krążą w ciszy białe siostry,*
*Czas powoli się wlecze, jak stary kaleka.*

*Czasem łzami opłyną blade twarze godzin...*
*Ktoś z łkaniem czyta słowa ostatniego listu...*
*Ostatni raz dla niego dziś słońce zachodzi.*
*A na krzyżu rozpięty płacze smutny Chrystus.*

*Bolesne się westchnienie z krzyża w ciszę niesie.*
*Okropna w swej pokorze cicha rozpacz krzyczy:*
*O Ojcze, co w radosnych panujesz niebiesiech,*
*Jeśli można to oddal ten kielich goryczy!*

*Stanisław Kaszycki.*

*Zygmunt Leśnodorski.*

# Akademja literatury i monopol literacki.

Odbyty w Poznaniu Zjazd literatów z całej Polski, to zjawisko dowodzące dużej żywotności ruchu literackiego w Polsce. Na forum obrad Zjazdu wysunięto znowu tylokrotnie dyskutowaną sprawę Akademji literatury, względnie Izby literackiej, jak chce Karol Irzykowski. Pamiętamy wieloszpaltowe polemiki na łamach „Wiadomości Literackich" z przed kilku lat, pamiętamy sążniste artykuły, zamieszczane w stołecznej i prowincjonalnej prasie, wysuwające niezbite argumenta pro i contra w sprawie Akademji.

Bezcelowem byłoby wyciągać i przewracać jeszcze raz, tylokrotnie dyskutowane już kwestje. Biorąc rzecz praktycznie, jasnem jest chyba, że sprawa Akademji literatury polskiej nie może być w tej chwili aktualną, choćby ze względu na kwestje czysto finansowe. Akademja kosztowałaby Panstwo — wcale znaczną pozycję w budżecie.

Przy zawiązywaniu się tego rodzaju instytycji, jak Akademja lub Izba literacka, do której wejść mają najwybitniejsi, najbardziej zasłużeni przedstawiciele literatury, nasuwa się zasadnicze pytanie, którzy to literaci są najwybitniejszymi i najbardziej zasłużonymi; dlaczego właśnie ci, a nie tamci? Biorąc rzecz z punktu widzenia bezwzględnej sprawiedliwości, niesłychanie trudno jest przeprowadzić jakiś system oceny przy wartościowaniu poszczególnych talentów. Można powiedzieć n. p., że dany literat jest genjuszem, a inny idjotą i grafomanem, ale, jeśli do Izby o czterdziestu fotelach kandydować będzie stu genjuszów, trudno zaiste będzie określić, który z tych genjuszów jest trochę bardziej genjalny od drugiego, który mniej, któremu pierwsze miejsce przed drugim sprawiedliwie się należy. Prawdziwe zaś dopiero komplikacje wynikną, jeżeli do tego momentu czysto objektywnego wartościowania, dołączy się nieodłączne przy tego rodzaju sprawach zjawisko różnych zewnętrznych wpływów, osobistych ambicyj, sympatyj i antympatyj, względów partyjnych, politycznych, urzędowych protekcyj, zawiści, zazdrości, intryg, podkopywania wzajemnych wpływów itd. itd. — Wiemy, jak ogromną falę peanów, hymnów uwielbienia oraz protestów i krytyk wywołuje wręczenie każdej lokalnej nagrody literackiej indywidualnej jednostce. Można sobie wyobrazić, co dopiero działoby się przy obsadzaniu miejsc w Akademji literatury. Wzorem tutaj ma być Akademja francuska. Rozważmy sobie przy tej okazji fakt, że w gronie „nieśmiertelnych", znajduje się bardzo wiele miernot, które nietylko nie zasługują na nieśmiertelność, lecz nawet na zajmowanie się nimi i pisanie o nich. Wielu natomiast wybitnych i popularnych francuskich poetów i literatów nie było i nie będzie nigdy członkami Akademji, co może zresztą jest rzeczą korzystną dla ich talentów, gdyż fotel w Akademji sprzyja częstokroć kultowi wygodnego kwietyzmu i spokojnego spoczynku na laurach wśród dymu kadzideł i niebotycznego wyobrażenia o swej własnej wielkości. W podobny sposób, w minjaturze, przedstawiają się kwestje związane z życiem literackiem na terenie prowincjonalnym, w stosunkach między autorami, z których nikt prawie — nie będzie nigdy członkiem Akademji, jeżeliby taka w Polsce powstała. — Wszędzie, gdzie tylko zarysowuje się wyraziściej życie literackie, prawie zawsze daje się zauważyć dążność do tworzenia pewnych ugrupowań i koteryj, opartych na kulcie wzajemnej adoracji i przeświadczeniu o ważności swej własnej misji. I podobnie, jak istnieje monopol wyrobu zapałek, sprzedawania gazet na ulicy, lub odnoszenia pakunków z dworca na miasto, tak też częstokroć zarysowuje się zjawisko *monopolu literackiego*. Jeżeli ktoś — czyj ewentualny talent, zdolności i możności, nie jest usankcjonowany przez jakąś klikę ludzi, którzy uważają eksploatowanie swych zdolności literackich za wyłączne prawo, — odważy się wystąpić z tworami własnej indywidualności, narazić się musi na surową naganę, jako że występuje bez pełnomocnego upoważnienia sfer pseudokompetentnych. W wyjątkowym jedynie wypadku, szczególnej życzliwości owych wpływowych czynników, może spotkać go protekcyjne klepanie po ramieniu, z optymistyczną uwagą, że może jeszcze coś z niego będzie.

Systemy powyższe są równie głupie, śmieszne, niemiłe, jak szkodliwe. I tutaj, podobnie jak w sferze zagadnień związanych z Akademją literatury, niesłychanie trudno jest przeprowadzić jakikolwiek system wartościowania i podziału na klasy. Prawdziwy talent nie polega na wrzaskliwości, popularności, zarozumiałości, autoreklamie, lecz na bezwzględnej — prawdzie.

## Jeszcze o „Niespodziance" Rostworowskiego

Zarzucano oddawna Rostworowskiemu, że „jest więcej poetą, niż dramaturgiem", że rozlewność liryczna zabija w jego sztukach prawdziwy dramat, że to wszystko — to tylko „mistyczno-symboliczny teatr wielkich haseł"... Lecz prawie wszyscy, nawet przeciwnicy, uznali, że „ostatni jego utwór jest — pierwszym".

Ludzie teatru sygnalizują nowe prądy: „nawrót do prawdy życia, do mocnego dramatu realistycznego. Zdobywa on w tej chwili (pisze *„rz"* w I. K. C.) pierwsze sceny europejskie w sposób wspaniały, spychając w przepaść zapomnienia dramat symboliczny, a ograniczając do właściwych rozmiarów powodzenie farsy. Przyszłość jest przed nim i jego w teatrze zwycięstwo".

Nie miejsce tu na ewentualną polemikę z powyższemi sądami. Stwierdzić tylko jeszcze raz należy, że dał Rostworowski najkapitalniejszy we współczesnej literaturze, nie tylko polskiej, dramat realistyczny.

Znaleźli się tacy, co twierdzili, że dramat to „niesmaczny", „wysoce nieetyczny", „nieestetyczny", „prozaiczny", że dość czytamy o różnych zbrodniach w gazetach, że to — kryminał. Oburzano się na autora za użycie dosadnego chłopskiego słowa.

I to mówili ci, którzy wyławiają codziennie ze szpalt brukowych dzienników najohydniejsze zbrodnie, tygodniami rozprawiają o odgryzieniu języka przez zawiedzioną kochankę, latają na sensacyjne rozprawy sądowe, spędzają „boski wieczór w teatrze, na „prawdziwej uczcie duchowej", kiedy na scenie przez trzy akty akcja rozgrywa się na łożu francuskiem i wchodzą typy homoseksualistów, rozprawiające stylem bohaterów Nowaczyńskiego („Wojna wojnie") lub Magdaleny Samozwaniec („Malowana żona")...

Z tymi nikt nigdy liczyć się nie będzie i odpowie im tylko wzruszeniem ramion.

Znaleźli się też i tacy, co twierdzili, że dramat to papierowy, że ożył jedynie na scenie dzięki dobrej grze zespołu i imponującej kreacji Sosnowskiego, nie licząc się z tem, że z bladej roli trudno nawet najlepszemu artyście stworzyć arcydzieło.

I właśnie na tem polega mistrzostwo autora, świetnego znawcy teatru i jego wymagań, że dał aktorowi możność „wygrywania" pauz, niedomówień. Świeżo wyszła „Niespodzianka" drukiem. Przeczytajcie, a przekonacie się, że tam każdy ruch, każdy gest, każde spojrzenie, modulacja głosu, cała gra mimiczna aktora została przez autora obmyślana, oryginalnie i wspaniale wykonawcy podsunięta.

Scena w karczmie: „Ojciec (postać patrząca z podełba, ponura, tępa, drewniana) podszedł do stołu i usiadł zwrócony plecami do parobczaków. Ale grobowa cisza na scenie zaczyna działać. Niepokój zamienia się w przerażenie.

Dolna szczęka opada — ręce zaczynają drżeć. Trzeba koniecznie zobaczyć, co oni tam robią! Trzeba się powoli, ze złodziejską ostrożnością odwrócić. Źle! — Abramek, który nie miał czasu oddalić się od parobczaków, stoi z głową na bakier — wykrzywia się, jakby go słońce raziło — nerwowemi palcami skubie brodę i, chociaż przymknął jedno oko, wkręca aż do wnętrza, dwa ślepia, jak dwa stalowe świderki! — Brrr! — A parobczaki? — Nie lepiej! — Ręce w kieszeniach — bazyliszkowe spojrzenia — jakieś paskudne, wrogie uśmiechy — coś wiedzą! Czegoś się domyślają! — Lepiej zakończyć badania, patrzeć na stół, przy którym się siedzi, i byle co powiedzieć! Ale co?! — Aha! —: „CYSTOM Z KROPLAMI — „Ponowne, tym razem błyskawiczne badanie. Parobczaki mrugnęli na siebie porozumiewawczo. Abramek widocznie nie słyszał. — Nagły strach przepędza ojcowe ręce przez wszystkie kieszenie. Tępa konsternacja, na stronie: — „PSIO KREW, ZABACYŁEM SE PINIONDZE! — itd... itd...

Trzeba być artystą z Bożej łaski, a nie zawodowym rzemieślnikiem - aktorem, by w te objaśnienia wczuć się i przekuć je na odpowiednią maskę; — tak, jak pisarzem dramatycznym, artystą z Bożej łaski, jest autor tych poematów-wskazówek.

Zarzucono też Rostworowskiemu nieumiejętne używanie gwary i wyrażeń literackich, fałszywie brzmiących w ustach chłopa... — A „Klątwa"? — „Wesele"? — „Chłopi"? — sztuki Zegadłowicza? —powieści Kossak-Szczuckiej? — i cały, cały szereg innych pisarzy, tematy z życia ludu czerpiących. (Jeden tylko wyjątek: Tetmajer!) Ta usterka dramatu Rostworowskiego jest mało istotna i najzupełniej usprawiedliwiona!

Wyszukiwanie takich usterek, rozdymanie ich do wielkości olbrzymich błędów i obniżanie wartości dzieła nacechowane jest specjalną złośliwością i chęcią przysłonienia prawdy.

Ale także z chęcią przysłonienia prawdy, pisany jest artykuł Nowaczyńskiego („Wiad. Liter. Nr. 11), nacechowany też specjalną złośliwością, lecz już oczywiście godzącą w kogoś innego. Wmawia się w nim Rostworowskiemu, że nie chodziło mu o sam dramat psychologiczny, ale o groźne memento, że „po dziesięciu latach niepodległości nadal taka nędza, mimo złotego Paktolu dolarów z Hameryki"... Dramatem tym wołać ma — w myśl życzeń Nowaczyńskiego — autor: „Nie dawajcie się zbyt łatwo fascynować urokowi dolara! Oto do jakich zbrodni może chuć dolara doprowadzić indywiduum — i collectivum. Czy suma szczęścia, spokoju i uczciwości ogólnej byłaby w Polsce wzrosła, gdyby państwo było dostało w ręce drugą pożyczkę amerykańską?"... itd.

Słusznie jednak zauważa Nowaczyński, że te jego rozmyślania i twierdzenia będą „dla samego autora... niespodzianką", że „mu się to nie marzyło, ni śniło"... Więc pocóż wmawiać autorowi pomysły i idee, które mu nawet przez myśl nie przeszły, pocóż wypaczać jego zamiary i zatajać prawdę?

*L. R.*

## Z TATR.

*Jest w Tatrach jasne jezioro,*
*Śród granitowych stu koron,*
*Jak stół z marmuru carrara,*
*Wtłoczony w kamienny barak.*
*Przy nim, choć ściany izbicy*
*W oślizgły niosą się wiszar,*
*Z dumą w szkarłatnej źrenicy*
*Ucztuje niebios padyszach.*
*Słońce ma chiński parasol.*
*Zastawa świeci szeroko —*
*Przedziwną mieni się krasą,*
*Przedziwnych kształtów rococo —*
*Na tafli złotej i cichej,*
*Na jasnym stołu robronie,*
*Tu, lała śnieżnym kielichem,*
*Tu, żółtym serwisem płonie.*
*Jawią się barwne półmiski,*
*Puhary, krużę i dzbany —*
*I król przestrzeni niebieskiej*
*Cud iści w światłach różanych.*
*Ucztuje godnie i długo —*
*I kończy złotą biesiadę —*
*I już wieczorną szarugą*
*Po niebie idzie wybladłem.*
*A na jeziora zaś płycie,*
*Skrytego w skalnym namiocie,*
*Srebrzysty skąpiec i satyr,*
*Przelicza księżyc dukaty.*

*W. Hlouszek.*

## *Maj pod Sochaczewem w r. 1915.*

*Dzień dziś tak wyjątkowo pachnie, jak ziemia przed siewem*
*w wiosenne rano — tam — u nas, nad Wołgą, czy Oką —*
*Pozdrawia cię, dniu, ostatkiem tchu w płucach dyszących głęboko*
*jedenaście tysięcy Rosjan pod Sochaczewem.*

*Coś się dziś stało z powietrzem nad okopami,*
*wiatr z transzy pruskich pociąga dechem zatęchłych studni...*
*duszno! — Czasem... tak łubin dławi... słońcem przygrzany w południe.*
*już... tchu złapać nie można — Chryste! Zmiłuj się nad nami! —*

— — — — — — — — — — — — — —

*Zasyp nas kul ulewą — błagamy o śmierć lekką,*
*piłami bagnetów tnij nas — sosny bratniego boru!*
*...Tylko nam nie każ wdechać chloru,*
*Wrogu! — bracie!... — Człowieku!...*

*Podnieście nas na tarczach przed oczy Europy, Ameryki, Azji —*
*niech spojrzą w twarz umęczonego człowieka...*
*Pozdrawiamy Cię, Ludzkości — Dwudziesty Wieku,*
*My — jedenaście tysięcy zabitych gazem!*

*Kazimierz Skowroński.*

## *Współczesność.*

*Wołasz nas zgiełkiem obłąkanych dróg,*
*ogarniasz rytmem oszalałym. —*
*W dzieciństwie nocą nam się tłukł*
*za oknem ranek twój od dymów biały.*
*Bez tchu nas ciska gorączkowy pęd,*
*brutalną pięścią bijąc w oczy!*
*I tylko głód miłości tłoczy*
*i tylko kopie nas ulica*
*i krew wysysa z żył,*
*gdy po wsiach w łałach gra pszenica,*
*a nad nią wiatr unosi pył.*
*Lecz gdy na ścieżkach salwami wystrzela*
*zielona gorycz i ból obłąkany*
*to niestrudzeni, choć nas żar spopiela*
*idziemy armją w rozwalone bramy*
*i nowe czasy krzeszem oskardami*
*znużeni — sami...*
*Bo na tych drogach, co szumią dalekie,*
*chcemy się spotkać z Bogiem i Człowiekiem.*

*. Teofil Kowalczyk.*

## Artysta — filozof.

Toczące się od paru tygodni polemiki i rozważania, których tematem jest wystawa prac Szukalskiego, dowodzą najlepiej jak mało uzasadnionym był sąd artysty o krytykach i uznanych mistrzach dłuta i pendzla, wypowiedziany w głośnej filipice w dniu vernisażu. Krytycy i esteci, zarówno ci, którzy poddali rzeczowej krytyce twórczość Szukalskiego, jak i ci, którzy z entuzjazmem przyznali mu genjalny talent i nieograniczone możliwości twórcze, wydali sobie świadectwo ludzi o kulturze artystycznej, o szerokich zainteresowaniach w stosunku do ewenementów życia artystycznego. Bo, że wystawa Szukalskiego stała się ewenementem w życiu artystycznem Krakowa, to zdaje się nie ulegać dyskusji. Stało się to niezależnie od reklamy, jaką jej twórca urządza, niezależnie od jego interpretacji. Dzieła Szukalskiego same przez się przykuwają do siebie wzrok, same przez się zmuszają niekiedy wprost brutalnemi efektami do zwrócenia na siebie uwagi, narzucają się naszym zmysłom swoim ogromem, swoim tytanicznym zakrojem. Polemika na temat tych dzieł i ich autora zadała, jak to nadmieniłem, zdecydowany kłam twierdzeniu Szukalskiego, jakoby krytyka kierowała się w swoich sądach niewzruszonemi kanonami, jakoby szukała w dziełach sztuki wartości objektywnych i na nich ten sąd opierała. Krytyka okazała się w interpretowaniu twórczości Szukalskiego zdecydowanie subjektywną, co więcej, twórczą, jeśli chodzi o wyszukiwanie wartości artystycznych w dziełach tego artysty.

Co mnie przedewszystkiem uderzyło na wstępie, to ogromna różnorodność środków jakiemi artysta dąży do osiągnięcia efektu. Jest ona dlań najlepszym puklerzem przed zarzutem zmanierowania, wywołuje jednak wrażenie chaosu. Wydaje się, że artysta jest w rozterce duchowej, że duch jego jest jeszcze ciągle terenem walk wewnętrznych i że jeszcze nie prędko znajdzie linję, której da wyraz w ujednostajnionej formie swojej twórczości. Być może lepiej jest nawet, że taka krystalizacja i zrównoważenie jeszcze nie nastąpiło, gdyż to bogactwo pomysłów i środków ich realizacji jest właśnie płodem tych walk, przeżyć duchowych. Z chaosu tego wyłaniają się dwa zupełnie różne oblicza artysty, a raczej dwa duchy twórcze, różne zupełnie, a pokrewne tylko niezaprzeczonym talentem. Jeden z nich to głęboki myśliciel, drugi to pełen rozmachu i uczuciowości syntetyk, dający w kilku rzutach jaknajdalej idące uogólnienia. Dyskusja rozwinęła się głównie nad pierwszym, który przemawia do nas przedewszystkiem ze zbiorowych kompozycyj, z projektów pomników, z tematów historycznych. Do tych dzieł zdaje się także sam autor przywiązywać największą wagę. One właśnie noszą na sobie to piętno „nowości" i oryginalności, którem Szukalski chciał sprowokować mężów „uczonych w estetyce", w czem się zresztą przerachował. Do mnie osobiście rzeczy te mówią mało. Są bardzo, a bardzo ciekawe, wykonanie ich jest nienaganne, temat zawsze podniosły, a mimo to są mi obce i obojętne. Ich refleksyjność, przeładowanie szczegółami i symbolami jest do pewnego stopnia anachronizmem w epoce, w której dzięki Einsteinowi osiągnięto jedno uogólnienie dla wszystkich zjawisk fizycznych, w epoce skrótów i dążenia do harmonijnej prostoty. Sztuka zawsze wyprzedza życie, wyprzedza nawet myśl ludzką. Być może, że dla późniejszych pokoleń będzie Szukalski bliskim i drogim. My chcemy od sztuki wrażeń bezpośrednich i jaknajsilniejszych, przy jak najprostszych środkach. Sztuka jest pewnego rodzaju syntezą życia, przejawem jego najistotniejszych wartości, a może nawet (użyję tu ze wszechmiar niebezpiecznego słowa) najprawdziwszych. Chcemy otrzymywać ich wrażenie bezpośrednio. Tymczasem Szukalski (w tych dziełach, o których teraz mówię) analizuje pracowicie i systematycznie swoje przeżycia. Takie kompozycje, jak „Cecora", „Bolesław Prawy" czy pomnik Mickiewicza, przeładowane symbolika szczegółów zmuszają także widza do drobiazgowej analizy, która jest zwykle przyczyną dużej rozbieżności między tym efektem, jaki zaistniał, a tym, jaki autor chciał wywołać. Dlatego też nie można się dziwić, że p. Szukalski osobiście interpretuje swoją twórczość, gdyż może być łatwo fałszywie zrozumiany. W wymienionych dziełach, które opinja uważa za wyraz twórczości Szukalskiego, filozof wziął górę nad artystą. Myśliciel poglądy swoje, swoje idee wyraził plastycznie. Dlatego też dzieła te działają raczej na intelekt, niż na zmysł estetyczny, dlatego też widzę w nich przedewszystkiem uplastycznione rozprawy filozoficzne.

Natomiast pojedyncze postacie, ujęte także symbolicznie, ale potraktowane z prostotą, pozostawiły we mnie wrażenia niezatarte. Takiej „Obrony" nie powstydziłby się Rodin. W samym tylko ruchu uchwycił n. p. Szukalski sceptyczny wdzięk Ezopa. Ale najgłębiej wbija się w pamięć ta ręka, której palce zakończone są głowami ptaków drapieżnych („Walka Jakości z Ilością"). W tej ręce przebija się cały tragizm zawsze czynnego, zawsze twórczego ducha człowieka zachodu. Związek pomiędzy twórczością Szukalskiego, a sztuką Mayów czy Hindusów jest czysto formalny. Kontemplacja i kwietyzm są mu bardzo dalekie. Szukalski jest par excelence człowiekiem zachodu, który podejmuje walkę dla samej rozkoszy walczenia i dlatego, że walka jest nieodłącznym towarzyszem czynu, a czynu domaga się cała jego psychika.

A teraz jeszcze jedna uwaga, która mi się nasunęła w związku z wystąpieniem tego artysty w roli estety. Szukalski jest zdania, że sama technika, opanowana gruntownie może stworzyć dzieło sztuki. Powołuje się przytem na szkolenie rzeźbiarzy w Indjach, gdzie mistrz nie baczy wcale na talent swego ucznia, ale niezależnie od tego urabia go na dobrego rzemieślnika w swoim fachu i na twórcę artystycznych dzieł. Pomijam już to, że talent jest niezbędnym w każdym rzemiośle, najmniej wymagającym rozwinięcia zmysłu estetycznego. Zwrócę tylko uwagę na to, że Szukalski sam nazywa siebie nie artystą, ale rzemieślnikiem. Otóż przeciwstawia on sobie te dwa pojęcia zupełnie niesłusznie, bowiem w tym wypadku mamy do czynienia z artystą o głębokiej erudycji technicznej. Od rzemieślnika różni go przedewszystkiem jego przebogata wyobraźnia twórcza, którą wątpię czy dałoby się zastąpić choćby najstaranniejszemi studjami. Niemniej ten zupełnie nowy pogląd Szukalskiego na twórczość artystyczną może pociągnąć za sobą niesłychanie ważne następstwa, a mianowicie zwrócić uwagę na coraz bardziej zaniedbywaną technikę. Tak silne indywidualności, jak Szukalski, zawsze wywierają wpływ na swoją epokę, a raczej epokę, którą zapoczątkowują. Stają się oni na długi czas wzorem dla indywidualności słabszych, a ich poglądy stają się kanonami szkół artystycznych. Z radością możemy przypuszczać, że cały szereg młodych artystów pogłębi swoje wiadomości techniczne w zakresie malarstwa czy rzeźby, nie po to, żeby technicznemi efektami maskować pustkę duchową i myślową, ale po to, by mieć większe możliwości wyrażania swoich myśli i przeżyć. I to będzie niezapomnianą zasługą Szukalskiego.

**St.**

## Dancing.

Dancing jest duszny, ciasny, dancing jest przyjemny. Okrągła sala dekorowana bezsmacznie, obwieszona krwistością sukna, opięta złotem wyblakłem i pełzłem, na boki wyrasta w gwiazdy lóż. Dancing ma w sobie coś z gorąca równikowych krajów, legendarnego bogactwa filmu, snobizmu międzynarodowości, upajającej duszności wielkiego miasta, bezmyślności, fałszu i karjery. Dancing przyciąga choć odpycha, zmusza do zabawy, nie gorszy, nie buduje na duszy, jest alkoholem, pitym jak lekarstwo, kosztownem jak one, bo próżniaczem. — Świat w sobie zamknięty, wolny jest ziemi; kto wkroczy tu, pragnie zapomnieć swoich spraw, by lepiej je pamiętać, czuć kwas łykanego wina i wesołość troski pełną — dancing jest przyjemny, jest żywy.

W użyciu porównań, skrótów i wydłużeń myslowych, w stylizacji żądań przyjmijmy, że dym tytoniu jest gęstym żywiołem wodnym, staw zarośnięty glonem ma ziel i ciężar masy, poruszenie związane z dźwiękiem wiatru. Topielcami są tańczący, wiatrem jargotliwość muzyki. Ponad niemi wypromienia się kolorami wschodów i zachodów, słońce oświetlonego bębna. Raz czerwieni się, raz gaśnie. Wtedy przyćma światła nie kontrastuje cieniów twarzy, szkło rozkłada je w zieloność wody.

Na dnie stawu zacisznemi miejscami wolnemi od prądów środkowej cieśniny wydają się stoliki i miękkie oparcia kanap. W niosiągalnie wygodnym bezruchu szuka ciało oparcia, chce z nocy uzyskać noc, i zamknąć oczy rytmicznem najdywaniem formy. Darmo też patrzeć erotyzmu świętych gajów, tam gdzie panuje lenistwo tropikalnych krain; gdzie maksymacje szczęścia względną, bo dancing jest pracą, ciężką pracą szukania wesołości.

Murzyn maniacz, szef dźwięku, ma twarz niedarmo murzatą. On kieruje wesołością, on po-

wieki topielców dymnych rozchyla i przymyka, on oddala lub przybliża kośnie tańczące ciała. Włosy jego miotła kępiata, oczy latarnie aut jaskrawe. Gdy przewróci tłuste kiełbasy warg i zalśni białością zębów, gdy łukiem uśmiechu całą wykrzywi gębę, obejmując fronton nosa, wtedy śpiewem dodaje taktu. Korpusem jak wieżą kołysze, a śpiewając tak myśli sobie: W Filadelfji byłem rok temu, więcej nóg tam tańczy i raźniej, głowy bardziej się chylą ku sobie, trzeba dodać wdzięk jeszcze do dźwięku, mało słychać nie jazz ale pieniądz, Buck mnie uczył uśmiechu w Ohio, i dołożyć mu piasku sypliwość, kiedy garnki myłem w Nev-Yorku, warkot bębna powiększyć do reszty, poznał angielską miss z ojcem, ruszyć szum i jazgot koniecznie, cieniowały się światła w hotelu, aktor trzeźwy, bo wypił zamało, księżyc suknią opłatał jej piersi, dźwiękiem szkła kołować po sali, ucałowałem jej usta a ona, instrumenty wyzyskać do końca, tak lubiała gdym wargi kołysał, choćby umrzeć w kojności uderzeń, w śpiewie długim i mięśni rozdrganiu, butem w szklankę uderzać rytmicznie, jeszcze jeszcze i jeszcze i już.

Przez długość sali następuje wzmożenie zabawy; wyrzucony wałek papieru, rozwija się, wyrasta w długą ljanę, opada. Papierowa roślina jest posłem serca. Kolorowość tych wielowtórnych wężyków i pasków, łączy się z trwającym ciągle w uszach warkotem słonecznego bębna i śpiewem murzyna. Malaga czepia się gardła, alikant spływa po zębach, dym piecze oczy.

Teraz inaczej płynie wiatr muzyki. Przybiera łzawy rytm i kołyszącą upojność żaru. Jest wolny i powolny, ruchy zmusza stosować do siebie. Ciała plotą się w jedność, kładą się wzajemnie, okręcają wzdłuż osi nóg. Słońce przenika głębokość wody; niema już gwałtownych poruszeń fal — jest tylko przypływ i odpływ stawu. Wśród głębin ciężar staje się pragnieniem, pragnienie istotną rozkoszą, niknie czas a zjawia się wieczystość.

I splecenie ciał, zapomnienie i chwilę, miłosność nieskończoną niczem, nagle dyssonansowo i dziwacznie, trzytaktowość oberka. W gorącu upojenia, w duszności kaloryferów, zmienionej na tropikalność jest ta nuta bezsensem i bezcelowością. Twardo obija sukienne ściany, nie zyskując zwolenników. Tłucze się, szukając ujścia stąd, konkurując daremnie o zwycięstwo. Wywoła zawrót głowy i pot czoła, lenistwa nie rozpruszy i nie zwycięży. Ściany potrzeba tu drewnianej nie ciszących opięć, glinianego klepiska miast parkiet. Kto bystro patrzy tu, widzi tylko szlachetny kompromis na rzecz nowoczesności, rodzaj wstydliwego, choć koniecznego przyznania się. Trudno.

Bęben i fortepjan, saksofon i bandjola dziwaczne pomorty, muszą wzbudzić zamiłowanie zabawy, ożywić głębiny wodne, muszą uczynić z bojących się strapionych, pragnących, ludzi żywych, pewnych, opanowanych. Czy dźwięki kleksię i fletnią się, czy piskują i brzuszą rozpeckane w rytmy, należy sądzić je ożywionemi. A nadewszystko, ponad inne względy, musi człek wstąpiony w dancing czuć jego gorąco, rozpalność sinego powietrza w metal sięgającą, psychologję odfrasobliwionego bytu. Upał jest istotą naszej tęsknoty, lenistwo śniadych ras ideałem, zmęczenie miłością w słońcu umarzeniem.

Palma kołysze się wolno nad tonowem łożyskiem banioru. Swoje długie palce łapaniem powietrza utrudzone, chyli tam w rozpale dnia. Toteż głębia stawu ledwo się rusza. Białe słońce najskrytsze mija zakręty. Prądu niema, niema żadnych rzeczywistości. Jak wielkie kręgi, rozbiegają się na wszystkie strony kamienie zmęczenia.

I wbrew prawom, zanurzone ciała nie tracą na ciężarze. Przeciwnie zdają się zyskiwać z każdą chwilą. Wbrew prawom w głębinę rozchodzi się zapach. Staje się silnym i zbliża k'sobie topielców. A także, wbrew promienności bębnowego słońca, skądyś wpada czarne światło. Zaczem obrucony wiatrak drzwi, wyrzuca z czeluści głębnej gorący war białego dymu, zgryźliwy i parnie osiadły u skrzydeł. Noc jest przed wejściem, a noc jest mroźna i świt niedaleki.

*H. Węgierski.*

## *Klangor żurawi.*

*Wracajmy bracia! — Skrzydła uniosą nas ku górze.*

*Gdy porzucimy ląd i zawiśniemy nad morskiemi odmętami, zamknie się dokoła nas seledynowa bańka, w której nic nie słychać, okrom szumu naszych piór, nic nie widać, okrom cieniów naszych ciał.*

*Krwawiące się słońce będzie słało ku nam wieczorami tęskne pocałunki.*

*Promienie zapadną w pogodną noc, by zbudziwszy się już nas nie zobaczyć.*

*Będziemy daleko!*

*Posłuszni odwiecznym przeznaczeniom będziemy mierzyć świat długością naszego szyku, tak jak to czynili nasi ojcowie od chwili stworzenia.*

*Nikt nie uczył nas naszej drogi, a jednak ją znamy.*

*Niestrudzeni walczymy z odległością co roku.*

*Teraz, gdy gorący piasek zacznie nam utrudniać stąpanie, gdy rozgrzana woda nie ugasi pragnienia, zerwiemy się stąd w karnym szeregu, ufni w to, że powrócimy.*

*Zachwyca nas wieczna wędrówka. Lęgniemy się w jednej krainie, by poprzez morza nieść jej pozdrowienia innej, dalekiej.*

*Znamy szelest wyniosłej palmy i ciche łkanie płaczącej wierzby.*

*Przeglądamy się w niebieskich wodach południa i szarych wodach północy.*

*Umiemy radować się nieskalanym lazurem niebios i doceniać zagniewane półkole stalowych chmur.*

*Słuch nasz zna odgłos wełniącego się morza i plusk śpieszącego się ruczaju.*

*My jedni, my wieczni, wiemy jak nikt inny, że nic się nie zmienia.*

*Długość lotu obliczamy uderzeniami skrzydeł, czas zachodem słońca, a istnienie ziemi ilością pochodów.*

*Wracajmy bracia! — Tam czeka nas nowa zieleń. Zgiełkliwy tatarak użyczy nam zacisznego schronienia, zimna woda prawdziwej ochłody.*

*Wysłańcy nusi patrzą na królewski trakt wycięty we wszechświecie, wypatrując rychło-li nadlecą królowie przestworzy.*

*Więc rozprostujcie zdrętwiałe skrzydła!*

*Do wiecznego cudu istnienia dodamy nasz własny cud: — klucz żurawi!*

*Józef Maurycy Drużbacki.*

---

**Zygmunt Leśnodorski.**

## Chapliniada.

Parny, gorący wieczór. Suchy wiatr od wschodu wymiótł puste ulice ciszą i spokojem sennego, rozlewnego nastroju. Z poza szarej ściany z kolorowem wejściem, oblepionem fotografjami i barwnemi plakatami jękliwie dudni rozklekotane pianino rytmem cyrkowej galopady. Na prostokątnem płótnie ekranu rozpiął płótna swoich namiotów wędrowny CYRK. Widzieliśmy go w Krakowie przed rokiem na wielkim, eleganckim zeroekranie; objechał on różne Drohobycze i Wadowice, Stryje i Kołomyje i wrócił do małego, niepozornego krakowskiego kina gdzie same „wznowienia" pokazują. I chociaż nawet w najbardziej słonecznych momentach pada na chmurnej płachcie ekranu rzęsisty deszcz, chociaż nadgryziona zębem czasu i aparatu projekcyjnego celulojdowa taśma dziwne czasami wyprawia harce, miło jest w mrocznej i przytulnej sali e jeszcze raz oglądać trzeci wielki film genjalnego Pana w czarnym meloniku.

Nie jestem sam na pustej ulicy. Ktoś stoi za mną. Dotknął ręką mojego ramienia. Odwróciłem się i ujrzałem szczupłego, sympatycznego pana z czarnemi wąsikami, równie czarnym meloniku, w szerokich, sfalowanych spodniach, oryginalnego fasonu, błyszczącego jak lustro żakiecie. Pan ten przestępując z nogi na nogę w ogromnych butach, składających się z samych łat wywijał z gracją cienką, trzcinową laseczką, w drugiej ręce trzymając imitację papierosa, składającą się z kawałka amerykanskiej gazety, która owijała coś, co przypominało włosie wysiedzianej przez cztery pokolenia kanapy.

Któżby go nie poznał. Jednakowoż mimo wszystkie nieprawdopodobieństwa i możliwości XX wieku, widok jego wydał mi się czemś zgoła fantastycznem i nieprawdopodobnem. Zdumiony i drżący ze wzruszenia wyjąkałem:

— Pan w Krakowie? A ja myślałem, że Pan ciągle w Hollywood...

— Ja jestem wszędzie — brzmiała dziwaczna odpowiedź. Jestem wszędzie, gdzie rozgrywa się tragifarsa życia, gdzie kwitnie blady uśmiech poprzez łzy. Jestem Holendrem Tułaczem, błąkającym się po różnych portach doli i niedoli, jestem nowożytnym Diogenesem, beczką moją jest cały świat. Nic mi nie potrzeba, małe są moje wymagania. Chcę tylko, aby żadna chmura rzeczywistości nie przesłaniała mi słońca uczuć. A jednak jest inaczej. Nie kocha mnie nikt, a śmieją się ze mnie wszyscy. Samotny jestem jak błędny rycerz średniowieczny, jak Don Quichot, śmieszny, zwarjowany symbol wszechludzkiej tęsknoty romantycznej. Ja jestem amerykańskim Cyranem de Bergerac XX wieku. Patrz Pan — tutaj wskazał szeregi fotosów wywieszone przy wejściu do kina — czyż to nie wzruszająca historja? Historja komicznego, brzydkiego, śmiesznie brzydkiego człowieczka, który posiada skarby fantazji i wyobraźni, chce i umie gorąco kochać, i poświęca swe szczęście, dla dobra ukochanej, która swój ideał życiowy widzi w małżeństwie z przystojnym a głupim bubkiem? —

Gdy to mówił dwie duże łzy glicerynowe spłynęły mu ze smutnych oczu. Wyjął z kieszeni spodni chustkę wielkości żagla okrętowego, kolorem przypominającą koszulę faszystowską i otarł nią łzy glicerynowe. Poczem westchnąwszy tak mocno, że aż spadł mi kapelusz z głowy ruszył naprzód swym charakterystycznym kaczym chodem. Szedłem za nim, dziwiąc się wielce wszystkiemu, co się działo. W pewnej chwili stanął i wskazując na jakąś smętną ruderę rozpoczął liryczną opowieść:

Zupełnie tak samo wyglądał jeden odrapany mur w dalekim Los Angelos, pod którym to murem znalazłem przed laty małego brzdąca, zachwycającego malca. Wychowałem go. Gdy wyrósł, chodziliśmy razem wszędzie. Razem cierpieliśmy głód i włamywali w pomysłowy sposób do serc naszych bliźnich. Czasami zarabialiśmy uczciwie na życie pracą. On wybijał szyby a ja je wprawiałem, gdyż wówczas byłem szklarzem. A jak wspaniale wyglądało nasze gospodarstwo. Samowystarczalność, wszystko przy sobie. Tak jak i teraz zresztą, niech Pan popatrzy: w jednej kieszonce od kamizelki sól, w drugej pieprz. Tylko częstokroć nie było czego solić. A w pasku trzeba było nowe dziurki wywiercać, aby moje piękne spodnie nie opadły tak, jak wtedy w cyrku na linie, gdy obsiadły mnie wstrętne małpy. A potem brzdąc znalazł swoją wytworną mamę, odebrano mi go. Nastąpiło rozstanie, zostałem samotny. Lecz też zostało wspomnienie najpiękniejszych chwil życia..

Widzę, słuchając tego opowiadania brudną, ubogą, robotniczą ulicę Nowego Jorku. Pośród tłumu wyśmiewających go dzieci drepcze mała, pokrzywiona figurka i oto na tej ulicy, z pomiędzy odrapanych, zakopconych, popękanych murów wyjdzie kiedyś piękna niewidoma dziewczyna, sprzedająca bukieciki fiołków na rogu gwarnej ulicy. — Niech Pan patrzy — mówił mój towarzysz — ta niewidoma, biedna, piękna dziewczyna, spotka kiedyś na drodze swego życia bardzo, bardzo dobrego człowieka, który ją będzie bardzo, bardzo kochał, opromieni troskliwością i miłością jej okropne kalectwo. A ona nie będzie wcale wiedziała, że opiekun jej to taki groteskowy, komiczny włóczęga, pośmiewisko całej ulicy...

— Pan mi opowiada treść swojego najnowszego filmu... —

— Pokazuję Panu kawałek życia... A czasem kawałem życia da się zakląć na celulojdowej taśmie filmowej. A kiedyś, może za 7 lat, gdyż tyle mniejwięcej czasu potrzeba, ażeby dobry amerykański film dostał się do waszego kraju, pójdziecie zobaczyć historję niewidomej dziewczyny. A wie Pan, co się z nią stanie? Ona kiedyś przewidzi — i wybuchnie śmiechem na widok swego komicznego, błazeńskiego towarzysza, nie uwierzy nigdy, że to był on, ten tak dobry opiekun, którego wyidealizowała, nazywając w swoich myślach aniołem z nieba zesłanym... A on? Odejdzie, tak jak nieraz już odszedł wywijając nonszalancko laseczką, głęboki ból na dnie duszy chowając. Czy pamięta Pan biały krąg na murawie, ślad areny cyrku, który odjechał... pustka po tej, która odeszła i mała, groteskowa figurka odchodząca w przestrzeń, skazana na wieczną samotność...

Długą chwilę szliśmy w milczeniu. Aż gdy stanęliśmy u wylotu błoń, rozsłoneczniły się nagle przed nami szerokie lodowe pola skrzącą, kłującą bielą śniegu. W mroźnym podmuchu północnego wichru przewaliły się ciężkie śniegiem chmury, ukazując w dali zębaty grzebień przełęczy Chilcoot, poprzez którą nieprzerwanym sznurem ciągnęły tłumy, dążące szlakiem północy do kraju gorączki złota po bliskie a tak złudne szczęście... — Oto jest najgłębsza prawda — zawołał mój czarny towarzysz, — w twardym spracowanym londonowskim trudzie na szlaku, w pierwotności gołębiej natury ludzkiej, w romantyzmie przygody i realiźmie twardej rzeczywistości tkwi najgłębsza istota życia. I tutaj wkracza, jak wszędzie z życiem ból i cierpienie, i tutaj rozgrywa się ponura tragifarsa życia, lecz niema tutaj waszej kulturalnej, cywilizacyjnej obłudy, niema sztucznych więzów, fałszywych form...

— Odchodzę. Idę po Przygodę i Miłość. Idę szukać złota i szczęścia...

Zaskrzypiały płozy sań. Głucho po śnieżnej pustce Alaski pobiegło szczekanie psów. Z pokrytych futrami sań powstał młodzieniec o oczach starca, wpatrzonych w poważnem zamyśleniu w bezkresną przestrzeń. Nie widziałem go nigdy, ale domyśliłem się, że był to Jack London. Mały człowieczek w czarnym meloniku podszedł do niego. Uścisnęli sobie silnie dłonie.

---

## *BÓL.*

*Kiedy mnie boli — ściskóm spiekłe wargi:*
*niek ludzie myślóm, ze jo ino mocny,*
*zek łcioł niescęście zgryźć — a skargóm*
*i płacem lasy obsiywóm po nocy,*
*coby jęcały, kiedy nik nie słysy,*
*skargóm zielónóm! —*
*Wtej na siedem klucy*
*piersi zamykóm i w śmiychu ozbłyski*
*bryzuje ocy — kie w piersi mi hucy*
*ból, co jak płakta skręcóno na wietrze*
*słonkoby zgasił we wełnistej cyrni*
*i w cyrni moze skąpołby powietrze*
*tak złote zawdy...*
*— — — — — — — — — — — —*
*Nie zbronie ludziόm po dobro sie styrmać,*
*choćby ku słónku... po moście z pajęcyn:*
*Kozdy je nóndzie —*
*hale juz po nie nie poleci więcyl! ...*

*G. Suski.*

---

## *MŁYN.*

*Z głośnym poszumem życia, z rozmachem i chlustem,*
*woda spada na koło okrągłe jak wieczność;*
*huczą w młynie kamienie cierpliwością kute*
*gna ich pasów i trybów żelazna konieczność.*
*— Półmrok — słońce przez szpary wsadziło rąk złoto*
*i po białej drabinie wyszło na szczyt dachu.*

*Pełny jest młyn codziennie wirów i obrotów,*
*aż drżą febrycznie belki szarego pułapu,*
*aż się pył srebrny niesie od klaszczących pytli; —*
*są jednak ciche, biało-błękitne niedziele,*
*kiedy koła drętwieją w kamiennym bezruchu —*
*czas wtedy przędzie długich godzin kądziel,*
*siedząc z siwym młynarzem na wytartym progu.*

*Zenon Koterba-Dziuban.*

——o——

## *KRZEMIENIEC.*

*Kiedy słowik zakwilił, gdy się krzew zabieli*
*wiśni, kwieciem pachnącem i biało-różowem,*
*leci duch tu Ellenai z cichej skargi słowem*
*szukać małej kołyski, w której śnił Anhelli...*
*Biała Lilla Weneda z sercem już gotowem*
*na śmierć - do stóp okrutnej Gwinony się ścieli,*
*między malin czerwienią — krągła pierś się bieli*
*Aliny i Goplana w kole lśni tęczowem...*
*O cudowny Harfiarzu! — oskarżono Ciebie*
*kiedyś, że świat zaludnił zjawami białemi*
*i że Boga w błękitnem Twych snów brakło niebie!*
*Przecież Twoja Beatrycz, gdzie padła na ziemi,*
*kazała wznieść ołtarze białemu wstydowi*
*i ten wstyd się, jak bóstwo Twych pieśni różowi!*

## *PODHORCE.*

*Stąd hufy się husarskie zrywały, jak ptaki,*
*stąd w szumie srebrnych skrzydeł — w proporców wichurze*
*pod Wiedeń i pod Chocim ruszały, jak burze,*
*gdzie jeno wróg się zjawił lub poganin jaki...*
*Tu baszty granitowe sterczą, jak przedmurze,*
*chroniąc piersią warowną od pól dzikich szlaki,*
*wewnątrz zaś istne cacka... klawikard wszelaki,*
*malowidła, zwierciadła i meszty papuże...*
*Jakby pałac sułtański — ten gród króla Jana,*
*zewnątrz zbroja husarska, mur z granitu lity, —*
*wewnątrz cacka niewieście, alkowa różana...*
*I taką jest kultura Rzeczypospolitej,*
*że choć tkliwem uczuciem serce jej uderza,*
*musi zbroję mieć męską i ramię rycerza...*

*Zygmunt Lubertowicz.*

## Szpotański contra Boy.

Boy zdecydował się ostatnio, by do paryskich laurów Mickiewicza wpleść nieco mięty. Konstatuje ku wielkiej uciesze „maluczkich", że ten wieszcz, mimo swej koturnowości, jest tylko człowiekiem, mającym mniej więcej normalny splot mięśni i nerwów. Astralna atmosfera towianizmu została zatruta ostrzem Boyowego pióra, wydechem, (o zgrozo!) nie mającym nic wspólnego z mistycyzmem.

Czyzby naprawdę Boy-mędrzec, członek akademji w Macon, b. lekarz kolei państwowych, i t. d. był do tego stopnia przeczulony na punkcie anatomji, że (w najlepszych zresztą zamiarach) identyfikuje organizm człowieka z organizmem poety? Jednem słowem Mickiewicz nie byłby Mickiewiczem, gdyby go przypadkiem zaplątano w jakąś skandaliczną aferę paryskiego demimondu. Idee Mickiewicza nie mają teraz krystalicznej przejrzystości, bo... sam ich twórca nie miał krystalicznego charakteru.

Szkoda!... Tak późno wciągnięto Mickiewicza pod pręgierz statystyki, że niektóre szczegóły jego zaparawanowego życia uległy zaciemnieniu. P. Boy przeholował... i znalazł się Szpotański. Ciężkie ten pan znalazł argumenty — za ciężkie nawet na lekką muzę Boya. — Trudno... Wobec takiego stanu rzeczy nie pozostawało Boyowi nic innego, jak tylko urządzić „rycerski" odwrót. Gees.

## Krakowski Klub Literatów.

Jak nas informują w ostatniej chwili, z początkiem października b. r. rozpocznie swą działalność organizowany obecnie Krakowski Klub Literatów. Do tej pory zgłosiło przystąpienie czternastu znanych literatów z Krakowa i z prowincji.

Tymczasowy lokal klubu: ul. Wolska l. 14.

## *Z aforyzmów D. K. BALMONTA.*

*Czem ciemniejsza chmura, tem straszniejsza burza i tem jaśniej kwitną drzewa w odurzającem, świeżem powietrzu.*

*Żyjemy w złym domu. Fundament jego na trupach i półtrupach, — na żywych męczennikach. Należy zburzyć ten dom i zbudować nowy. My — ludzie, my — twórcy, czyżbyśmy nie byli w stanie wybudować wszystkiego, co podpowiada nam uczucie i nasuwa myśl?*



## Książka, o której się mówi.

*(J. M. Remarque „Im Westen nichts Neues").*

Problemy literackie, które wojna uwypukliła, a może i stworzyła, są tak uniwersalne, że musiały zainteresować artystów. Jeszcze przy akompanjamencie dział pisze i wydaje Barbusse swój „Ogień", a bezpośrednio po zawarciu rozejmu ukazał się szereg książek, w których uczestnicy tych gigantycznych wzmagań opowiadają swoje wrażenia. Ale większość tych wspomnień, choć autentycznych, choć z fotograficzną wprost dokładnością oddanych, nie mogło pretendować o trwałe miejsce w literaturze pięknej. Chlubnym wyjątkiem były „Drewniane Krzyże" Dorgelev'a, odznaczające się barwnym stylem, efektownemi obrazami i plastyką postaci. I nie należy się dziwić, że jak dotąd, nie napisano o wojnie dzieła tej miary, któreby można klasyfikować jako wybitne dzieło sztuki. Artyści, którzy osobiście wzięli udział w wypadkach wojennych, zanadto je sami silnie i głęboko przeżyli, aby móc o nich odrazu pisać. Długi czas tkwiły one w ich psychice w formie bezpośrednich wrażeń i trzeba było lat, by dojrzały jako problemy, których syntezę byłby pisarz w stanie przenieść na papier. Dziś, w dziesięć lat po wojnie, rynki księgarskie Europy, a szczególniej Niemiec, w których życiu duchowem najsilniej odbiły się zdarzenia z lat 1914—1919, zarzucone są mniej lub więcej wartościowemi książkami, które obrały sobie za przedmiot przeżycia wojenne. Wszystkie te książki malują nam całą grozę i ohydę wojny. Książka Remarque'a „Im Westen nichts Neues", czyni to w sposób najbardziej barwny i plastyczny, a jak niektórzy chcą i w najbardziej prawdziwy. Efekt, jaki wywołało jej pojawienie się na półkach księgarskich, nie miał sobie w latach powojennych równego. Zawczesnie jeszcze przesądzać, czy jest on tylko chwilowy, czy też książka ta stanie się wydarzeniem epokowem dnia. Dyskusja, jaka się nad nią wywiązała, przeniosła się rychło ze świata literackiego, za pośrednictwem pism codziennych na szerokie wody i stała się ogólną. W dyskusji tej padają zdania zupełnie sprzeczne, opinje znoszące się nawzajem. Pacyfiści podnoszą książkę Remarque'a do godności swojej ewangelji, hr. Westarp gromi z trybuny parlamentarnej ten, jego zdaniem, przejaw upadku duchowego Niemiec; wreszcie krytyk Walter von Molo nie waha się jej nazwać „pomnikiem niemieckiego nieznanego żołnierza", „książką napisaną przez wszystkich poległych", a skromny ekskapelan wojskowy Gersbach występuje na łamach „Kölnische Volkszeitung" z protestem przeciwko zniesławieniu tych poległych. Uderzający jest bądź co bądź fakt, iż ktokolwiek zabiera głos o tej książce, to mówi w pierwszym rzędzie o jej tendencjach. I rzeczywiście tendencyjność to cecha, najbardziej uderzająca autora utworu Remarque'a. Nie chcę tu zarzucać autorowi, że nagina fakty do zgóry powziętych założeń. Zbyt żywiołowo maluje nam zdarzenia, zadużo w nie wkłada swojej indywidualności, by można go było o to posądzać. Tendencyjność tej książki leży w nastawieniu psychicznem autora, które nie pozwala mu na wszechstronne ogarnięcie tematu. Remarque odtwarza rzeczy tak, jak je widzi, ale patrzy na nie pod pewnym stałym kątem. Ten szczególny kąt widzenia uchwycił, kto wie czy nie najlepiej p. Czapiński w recenzji zamieszczonej w „Robotniku". „A w końcu — śmierć". Nieprzeparty lęk przed śmiercią i przed cierpieniem wyziera z każdej karty tej książki. „A w końcu — śmierć". — to synteza wszystkich przeżyć, które Remarque po mistrzowsku oddaje. A z tego lęku przed śmiercią i przed cierpieniem, z tej zwierzęcej instynktownej trwogi bierze swoje źródło cały upadek człowieczeństwa, jaki się dokonuje w bohaterach „Im Westen nichts Neues". Krytycy naogół potwierdzają wielką prawdę i szczerość z jaką Remarque opowiada o wojnie. W szczerość powątpiewać nie można. Jeśli chodzi natomiast o prawdę, to wydaje się ona być nader subjektywną. Pomijam już pewne obrazy zupełnie naciągnięte (n. p. służba rekrucka) i wyolbrzymienie, konieczne zresztą ze względów artystycznych i najzupełniej usprawiedliwione, poszczególnych scen bojowych, ale chodzi mi o osoby i o procesy rozgrywające się w ich psychice. Bohaterowie Remarque'a, wszyscy w czambuł wzięci, po dłuższym pobycie w okopach przechodzą powoli proces „odczłowieczenia", zakończony zagłuszeniem, czy też zabiciem wszystkich innych instynktów, prócz instynktu samozachowawczego i seksualnego. Pragnienie ich redukuje się do zaspakajania najbardziej prymitywnych i zasadniczych potrzeb fizycznych. Bohaterowie Remarque'a zdali jaknajfatalniej egzamin ze swego humanitaryzmu. Bo ostatecznie wojna zdarła z nich to, co było maską, niegłębokiem przyzwyczajeniem i wydobyła z nich ich nagą „prawdziwą duszę, najistotniejszą część ich osobowości". A tą przedstawił Remarque tak czarno, że dziwić się nie można byłym żołnierzom niemieckim, że z różnych stron nadsyłają protesty, przeciwko uogólnianiu psychiki remarque'owskich bohaterów. „Nie byliśmy nigdy takimi", wołają ze szpalt „Kölnische Volkszeitung", która im udzieliła miejsca dla wypowiedzenia swoich uwag. W słowach prostych, ale silnych, bronią się przeciwko tej opinji, jaką im chce Remarque wyrobić. A obronę swoją popierają dokumentem, naprawdę objektywnym, jakim są „Die Briefe der gefallenen Studenten". Z listów tych jasno wynika, że tego zbydlęcenia, jakie maluje Remarque, nie wolno uogólniać. Że setki tysięcy poległych pozostało ludźmi w obliczu cierpienia i śmierci. A że Remarque tych ludzi, ludzi par excellence, nie dojrzał to wina leży chyba po jego stronie i wynika z jego własnej osobowości, której „Im Westen nichts Neues" jaknajsmutniejsze świadectwo wystawia. Bo w konkluzji, nabieramy przekonania, że jeśli w kim, to widocznie w nim wojna obudziła te najniższe instynkta, które choć uśpione dominowały w kompleksie jego uczuć. A jeśli pójdziemy po myśli autora i uogólnimy cechy jego osobowości, to powstanie wtenczas dręczące zagadnienie: Czy nie lepiej, że wojna od czasu do czasu zdemaskuje „bestję ludzką" w zupełnie specyficznych warunkach, niż żeby miała ona działać z ukrycia i paczyć codzienną twórczą pracę człowieka?

I dziwić się tylko można entuzjazmowi, z jakim „Im Westen nichts Neues" powitali pacyfiści. Bowiem w remarque'owskiej inscenizacji rola pacyfizmu sprowadza się do niańczenia „bestji ludzkiej" i do strzeżenia jej snu. Z chwilą, gdy się przebudzi, okazuje się cała jego bezradność. *em. cr.*

## Panu Dymitrowi Fiłosofowi, redaktorowi dziennika „Za Swobodu", w odpowiedzi na jego list otwarty, zamieszczony w „Wiadomościach Literackich" z dn. 16. VI. b. r.

Szanowny Panie!

Nie pragnę na tem miejscu odpowiadać szczegółowo na list, pisany przez Emigranta rosyjskiego, jak z treści wynika, mało orjentującego się w stosunkach wewnętrznych Polski, zwłaszcza w stosunkach lwowskich. Nie pragnę i nie chcę, gdyż list otwarty Szanownego Pana wywołał tylko niesmak. Chodzi w tej chwili o zwrócenie Jego uwagi na fakt, że pośród literatów polskich większość to katolicy. Dlaczego właśnie ci mieli na Zjeździe literatów w Poznaniu potępić tylko ekscesy antyżydowskie, milcząc o niewątpliwym fakcie profanacji procesji katolickiej przez młodzież żydowską? Dlaczego? Czy profanacja była kulturalna, a tylko reakcja ze strony młodzieży polskiej stała się niekulturalną? Dziwną tedy miarą Szan. Pan mierzy zajścia lwowskie, jak zresztą dziwnym jest sam fakt Jego wystąpienia na łamach „Wiadomości Literackich". Ekscesów antyżydowskich każdy kulturalny Polak równie nie pochwala, jak potępia w stanowczy sposób wszelkie prowokatorskie wystąpienia żydów w stosunku do ludności katolickiej.

I jeszcze jedna uwaga, raczej prośba: czy Szanowny Pan nie zechciałby zająć się zgłębieniem przyczyn upadku Rosji, zamiast wtrącać się w sprawy nas jedynie obchodzące?

Bylibyśmy Mu niezmiernie wdzięczni.

Kraków, w czerwcu.

**Mieczysław Wojtaszewski.**

## Odpowiedzi Redakcji.

*P. Wł. St. Nowy Targ.* Dziękujemy za wyrazy uznania dla naszego pisma. Nadesłanych wierszy nie zamieścimy. Radzimy pracować nad formą.

*P. Alfred Lutwak, Kraków.* Wierszy, o których Pan wspomina w swym liście, nie otrzymaliśmy. Prosimy o ich nadesłanie.

*P. Jan Ciesielski, Kraków.* Artykułów pańskich — niestety, nie rozumiemy. Za serdeczny list bardzo dziękujemy i chętnie Pana poznamy.

*P. St. Proszowski, Kraków.* Nie zamieścimy. Bardzo słabe.

*P. Ludwik Nowak, Warszawa.* Prosimy pisać mniej metafizycznie, a więcej ortograficznie.

*P. R. S., Lwów.* Niestety w tym numerze nie możemy już zamieścić. Prosimy o wczesne nadsyłanie.



**„ANTENA LITERACKA"** wychodzi 20-go każdego miesiąca. Nr. telef. Redaktora naczel. (w godz. wieczor.) 2076.

Przedpłata roczna 6 zł., półroczna 3 zł. Cena ogłoszeń: 1 strona 280 zł., 1/2 strony 130 zł., 1/4 strony 70 zł., 1/8 strony 30 zł., 1/16 strony 10 zł.

Redaktor naczelny i wydawca: **Mieczysław Wojtaszewski.** Redaktor odpowiedzialny: **Jan Kazimierz Zaremba.**

Drukarnia Przemysłowa w Krakowie, ul. Zielona 7. pod zarz. Tadeusza Zakulskiego.